

## Kino w genach

Kiedy 28 grudnia 1899 roku na świat przyszedł Bogdan Eugène Junod, znany później jako Eugeniusz Bodo, kino, a właściwie film był wciąż młodym wynalazkiem, cieszącym się raczej sławą nowinki technicznej aniżeli sztuki. I nic dziwnego, gdyż zaledwie cztery lata wcześniej bracia August i Louis Lumière zaprezentowali wynaleziony przez siebie, a ściślej mówiąc, udoskonalony przez nich, a skonstruowany przez Edisona, kinematograf. Garstka widzów (35 osób) obejrzała pierwsze, bardzo krótkie filmy: *Wyjście robotników z fabryki*, *Śniadanie*, *Polewacz polany* (obraz uważany za pierwszą filmową komedię) i *Wjazd pociągu na stację w La Ciotat*.

Zapewne konstruktorzy byliby bardzo zdziwieni, gdyby jakiś jasnowidz lub wróżka odkryli przed nimi przyszłość i opowiedzieli o wielkiej roli, jaką odegra ich wynalazek, że podbije cały świat i będzie kształtować gusta, opinię i modę. Nikt też nie przypuszczał, że owe ruchome obrazy mogą przynieść jakikolwiek zysk, ale o tym przekonano się dość wcześnie. Właściciel kawiarni Grand Café, w której odbył się pokaz filmów nakręconych przez braci, zgadzając się na ten osobliwy spektakl, szczerze wątpił, by ktokolwiek się nim zainteresował. Zmienił jednak zdanie, gdy następnego dnia po premierze ujrzał przed swoim lokalem kolejkę chętnych do obejrzenia ruchomych obrazów, która ciągnęła się kilkaset metrów. Wówczas pojął, że to lekceważone przez niego urządzenie braci Lumière może stać się prawdziwą żyłą złota. Zresztą sami wynalazcy przekonali się, jaką siłę ma magia kina, kiedy podczas

projekcji filmu pt. *Wjazd pociągu na stację w La Ciotat*, przerażeni widzowie zerwali się z miejsc i w panice rzucili do ucieczki, pewni, że lada moment rozpędzona stalowa lokomotywa wyjedzie z ekranu i zrobi z nich miazgę.

Przedsiębiorczy bracia, zaledwie kilka tygodni po premierowym pokazie, postanowili rozpropagować swój wynalazek na świecie, dlatego zaczęli szukać młodych, uzdolnionych technicznie ludzi, którzy, oczywiście po odpowiednim przeszkoleniu, zostaliby operatorami kinematografu i organizowali seanse filmowe. Do zadań owych operatorów należało nie tylko wyświetlanie ruchomych obrazów, ale też utrwalanie na taśmie filmowej odwiedzanych przez nich miejsc. Pierwszymi krajami, do których udali się propagatorzy tej nowej techniki, była Belgia i Wielka Brytania. To właśnie w stolicach tych państw wyszkoleni przez braci Lumière mężczyźni zorganizowali w lutym 1896 roku pierwsze pokazy filmowe.

W kwietniu tego samego roku sztuka filmowa zawitała nad Wisłę, a dokładnie do Warszawy, gdzie miało nawet powstać biuro przedstawicielskie braci Lumière. Na przeszkodzie realizacji tych planów stanęła biurokracja, dlatego francuscy operatorzy przenieśli się do Petersburga. Prawdopodobnie w Warszawie nie doszło wówczas do żadnego pokazu, gdyż we wszystkich oficjalnych źródłach figuruje data pierwszego seansu filmowego 8 lipca 1896 roku. Tego dnia w Resursie Obywatelskiej na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie chętni mogli obejrzeć ruchome obrazy wyświetlane jednak nie aparatem braci Lumière, ale cynetografem, konkurencyjnym wynalazkiem Edisona. We wrześniu tego samego roku operatorzy dotarli ze swoimi filmami również do Lwowa.

Wśród operatorów francuskich znalazł się jednak jeden, któremu biurokracja nie była straszna i postanowił zapoznać naszych przodków z wynalazkiem braci Lumière. Był nim Eugene Dupont, który wracając z pokazów w Pradze i Wiedniu, postanowił zboczyć

nieco z wcześniej obranej trasy i odwiedzić Kraków. I to właśnie dzięki niemu 14 listopada 1896 roku w Teatrze Miejskim krakowianie mogli obejrzeć aż dwanaście filmów, wśród których znalazły się: *Śniadanie dziecka*, *Plac pocztowy*, *Mimik z kapeluszem*, *Kłócące się dzieci*, *Plac Królewski w Madrycie*, *Polewacz polany*, *Polityczny zatarg*, *Francuska kawaleria*, *Hiszpańska artyleria*, *Masarnia fin de siècle'u*, *Kąpiel* oraz *Kolej żelazna*. Cały seans trwał pół godziny, bo filmy były zaledwie kilkuminutowe, a więcej czasu zabierała zmiana taśmy.

Zainteresowanie pokazami zaskoczyło zarówno dyrekcję teatru, jak i francuskiego operatora, dlatego zamiast planowanych czterech dni, seanse filmowe kontynuowano przez dwa tygodnie. I tak kino zagościło nad Wisłą, chociaż jeszcze długo było traktowane jako ciekawostka, banalna jarmarczna rozrywka, a pokazy filmowe stanowiły dodatek do innych widowisk, np. cyrkowych. W 1897 roku, a więc dwa lata przed narodzinami bohatera naszej opowieści, Kontynentalny Eden-Teatr B. Schenka zorganizował spektakl, w którym obok popisów cyrkowych i tresury zwierząt widzowie mogli obejrzeć także żywe fotografie, reklamowane jako przedstawienia „niezrównanego olbrzymiego thaumatrografu”.

Organizowanie pokazów filmowych z czasem okazało się intratnym zajęciem, ale sal kinowych z prawdziwego zdarzenia jeszcze wówczas nie było, filmy wyświetlano więc w teatrach lub namiotach cyrkowych. Mimo tych obiektywnych trudności, znaleźli się ludzie, prawdziwi entuzjaści nowej sztuki, chociaż wówczas nikt tak o filmie nie myślał, którzy wyposażeni w aparat projekcyjny i szpule z filmami, przemieszczali się przez miasta i wsie i tam, gdzie tylko było to możliwe, organizowali pokazy. W latach 1900–1904 pokazy filmowe organizowano w Warszawie na wszystkich letnich zabawach. Taki przedsiębiorca kinowy musiał być nie lada zapalciecem, wszak podróżując po kraju, narażał się nie tylko na trudy

i niedogodności, ale rezygnował z unormowanego życia rodzinnego. Nic dziwnego więc, że wśród owych entuzjastów X Muzy przeważali kawalerowie, choć zdarzali się też obarczeni rodziną. Takim przedsiębiorcą podróżującym z żoną i dzieckiem był właśnie ojciec Bodo – Teodor Junod – który na ten tułaczy żywot zdecydował się już jako człowiek poważny.

Eugeniusz nie urodził się jednak ani w drodze, ani w prowizorycznie zorganizowanej sali kinowej, ale w stolicy Szwajcarii, Genewie. „Genewa jest miastem, w którym odbywają się najważniejsze wydarzenia o znaczeniu międzynarodowym i nie tylko w ostatnich latach – twierdził Bodo w jednym z wywiadów, którego udzielał już jako gwiazdor polskiego kina. – W tym bowiem roku pierwszy raz ujrzał światło lampy elektrycznej Eugeniusz Bodo, czyli ja”<sup>1</sup>. Rodzice przyszłego aktora stanowili z pozoru niedobre stadło: Teodor był Szwajcarem, wywodził się z francuskiej arystokracji osiadłej w Szwajcarii za czasów wojen napoleońskich, i był wyznania protestanckiego, jego żona zaś, Anna Dorota Dylewska, pochodziła z polskiej szlachty, od stuleci osiadłej na Mazowszu, i była katoliczką. Najwidoczniej małżeństwo zostało zawarte z wielkiej miłości, skoro polska szlachcianka zgodziła się poślubić innowiercę i w dodatku pozwoliła, by w wierze jej męża wychowany został ich jedyny potomek.

Po ojcu Bodo odziedziczył nie tylko wyznanie, ale i obywatelstwo, dlatego do końca życia legitymował się paszportem szwajcarskim. Dlaczego i kiedy rodzina Junodów dotarła na ziemie polskie, nie udało się jak dotąd ustalić żadnemu z biografów artysty, być może pierwszym polskim miastem na ich trasie był Poznań, ale nie jest to pewne. Malutki Bodo wiódł iście cygańskie życie, jego rodzice, a właściwie ojciec, wydaje się bowiem, że Anna Dorota nie podzielała namiętnej miłości męża do nowego medium, prowadzili rodzaj objazdowego teatru, w którym sztuczkom kuglarskim towarzyszyły

pokazy ruchomych fotografii, czyli filmów. Jak już wspomniano, Teodor był nie tylko miłośnikiem kina, ale i jego propagatorem. „Już jako niemowlę zacząłem życie bardzo ruchliwe, podróżowałem bardzo dużo – wspominał po latach Eugeniusz Bodo. – Zjeżdżwszy całe imperium rosyjskie oraz pogranicze Chin i Persji, gdzie ojciec mój wyświetlał filmy (był jednym z pierwszych propagatorów sztuki filmowej), zawitaliśmy do Polski i osiedliśmy tu na stałe”<sup>2</sup>.

Niestety, na temat owych peregrynacji we wczesnym dzieciństwie nic Bodo nie opowiadał. Zapewne niewiele pamiętał, chociaż być może słyszał od swoich rodziców jakieś dramatyczne bądź zabawne opowieści, jednak nie dzielił się nimi z prasą ani tym bardziej z wielbicielami swego talentu. Twierdził jednak, że właśnie w trakcie tej podróży po bezdrożach imperium nauczył się języka rosyjskiego, którym dość dobrze się posługiwał, podobnie zresztą jak niemieckim, angielskim i francuskim. Miastem, które państwo Junodowie w 1903 roku wybrali na siedzibę swego rodzinnego gniazda, była Łódź i tam właśnie bohater naszej opowieści spędził dzieciństwo i wczesną młodość.

Ówczesna Łódź była niezwykle miastem, którego rozkwit przypadał na poprzednie stulecie. To właśnie w XIX wieku ta niewielka miejscowość, której liczba mieszkańców w 1820 roku wynosiła zaledwie 767 osób, przekształciła się w jeden z najprężniej rozwijających się ośrodków przemysłowych Europy Wschodniej, stając się istną „ziemią obiecaną” dla tysięcy ludzi – Polaków, Niemców i Żydów, którzy ściągali tu w nadziei na dobrą pracę i poprawę warunków życia, a także na szybkie wzbogacenie się. I rzeczywiście, w Łodzi narodziło się wiele fortun, ponieważ miasto, jak żadne inne na ziemiach polskich, oferowało możliwość szybkiej zmiany statusu społecznego, choć, jak łatwo się domyślić, nie było to łatwe. Kariera i w konsekwencji dostatek czekały na przedsiębiorcze jednostki, niebojące się ani ryzyka, ani ciężkiej, wręcz tytanicznej pracy, a do

osiągnięcia sukcesu konieczny był też przysłowiowy łut szczęścia. Dlatego zdarzało się, że niektórzy bardzo się rozczarowali, gdyż na skutek błędnych decyzji, co prawda, zmienili swój status społeczny, ale na gorszy.

Napływ ludności nie tylko z różnych części ziem polskich znajdujących się pod zaborami, ale nawet przybyszów z odległej Nadrenii i Styrii, sprawił, że Łódź stała się istnym tygłem kulturowym, narodowościowym i wyznaniowym, w którym wspólnie egzystowali Niemcy, Żydzi, Polacy oraz, stanowiący mniejszość, Rosjanie. Chociaż najliczniej reprezentowani byli mieszkańcy narodowości polskiej, w życiu ekonomicznym dominowali Żydzi i Niemcy, którzy ze względu na swój status majątkowy, byli głównymi inwestorami w mieście. Administracja była zdominowana przez Rosjan, co nie dziwi, zważywszy że Łódź była częścią Imperium Rosyjskiego. Ludność narodowości niemieckiej w przeważającej części utrzymywała się z przemysłu i rzemiosła, Polacy, masowo napływający do miasta z okolicznych wsi i pomniejszych miasteczek, stanowili siłę roboczą, Żydzi zaś opanowali miejscowy handel, bankowość i finanse. W pierwszych latach XX wieku aż 332 z 928 funkcjonujących w mieście fabryk były w rękach niemieckich.

Niemalą wpływ na potęgę włókienniczą polskiego Manchesteru, jak nazywano Łódź, mieli przedsiębiorcy żydowscy, do których, w czasie gdy w mieście osiedliła się rodzina Junodów, należało 585 łódzkich zakładów przemysłowych. Oni też zajmowali rezydencje przy handlowych ulicach śródmieścia, podczas gdy żydowska biedota, której w Łodzi nie brakowało, zamieszkiwała głównie Stare Miasto, uchodzące zresztą za dzielnicę nędzy. Niemcy i Żydzi stanowili też miejscową elitę intelektualną, ale Żydzi tworzyli dość hermetyczną społeczność. Chociaż taki tygiel kulturowy, etniczny i religijny mógł być widownią konfliktów społecznych, częstych na przełomie wieków i w XX stuleciu, w Łodzi do nich nie dochodziło,

gdyż skutecznie uniemożliwiał to skomplikowany system powiązań interesów i stosunków majątkowych, w którym uderzenie w jedną grupę narodowościową natychmiast odbijało się na pozostałych. Poza tym obywatele tego niezwyklego miasta, niezależnie od wyznania i narodowości, potrafili się integrować na festynach, przedstawieniach cyrkowych i zabawach tanecznych. Ciężko pracujący ludzie po całotygodniowej harówce pragnęli nieskomplikowanej rozrywki, dlatego wielkim powodzeniem cieszyły się teatryki rewiowe, schlebiające, co prawda, najniższym gustom, ale można w nich było zapomnieć o kłopotach dnia codziennego.

Na potrzeby miejscowej ludności odpowiedział Teodor Junod, mając oczywiście na uwadze szansę na wielki zarobek, i razem ze swoim przyjacielem, Duńczykiem Edwardem Vorthellem, niemal od razu po przyjeździe uruchomili bioskop, jak wówczas nazywano kino. Nazwa ta pochodziła od jednego z pierwszych projektorów filmowych, na których prezentowano nieme filmy. Projekcje organizowane przez Junoda i Vorthella cieszyły się tak wielkim powodzeniem, że wkrótce wspólnicy postanowili rozszerzyć działalność biznesową. Otworzyli więc teatr variétés, biorąc za wzór music-halle londyńskie, i odnieśli zwycięstwo dzięki zręcznie dobieranemu, co dwa tygodnie zmienianemu repertuarowi, „który bawił, nie siejąc zgorzsenia i zepsucia, dzięki ruchliwości i dobrej organizacji”<sup>3</sup>.

Owemu przybytkowi podkasanej muzy, który powołano do życia w 1907 roku, nadano nazwę Urania. Siedziba teatryku, a właściwie należałoby powiedzieć kinoteatru, ponieważ wyświetlano tam także filmy, mieściła się w drewnianym budynku na zapleczu domów u zbiegów ulic Piotrkowskiej i Cegielnianej (obecnie Jarcza). Do teatru należał też ogródek, w którym latem organizowano przedstawienia kabaretowe oraz seanse filmowe, te ostatnie oczywiście po zapadnięciu zmroku. Lokal otwarty był przez cały tydzień, od poniedziałku do piątku między ósmą a dziesiątą wieczorem,

a w soboty i niedziele znacznie dłużej, bo od czwartej po południu do północy. Hasłem przewodnim kierownictwa było „bawić, a nie nużyć”, i rzeczywiście publiczność odwiedzająca kinoteatr nie mogła narzekać na nudę. Oprócz występów cyrkowców, iluzjonistów, rozneglizowanych tancerek i kuplecistów, czyli wykonawców kabaletowych piosenek satyrycznych, na spragnionych rozrywki czekały też seanse filmowe i dobrze zaopatrzone bufet. Co ciekawe, w Uranii można było oglądać także filmy kręcone przez Teodora Junoda, który zrealizował np. relację z wyścigów konnych w Ksawerowie koło Pabianic. Skorzystało na tym zresztą miasto, ponieważ w zamian za pozwolenie na filmowanie, właściciel Uranii zobowiązał się przekazać dochód z jednego przedstawienia na potrzeby pogotowia ratunkowego, o czym nie omieszkała poinformować lokalna prasa.

Ojciec bohatera naszej opowieści był prężnym przedsiębiorcą i w 1910 roku otworzył kolejne przedsięwzięcie – zawarł umowę z Władysławem Glogerem, dyrektorem sceny ludowej Leśniczówka, w której zobowiązał się wystawiać na tej scenie najatrakcyjniejsze, zdaniem publiczności, przedstawienia zrealizowane wcześniej w Uranii. Pani Junodowa z czasem także przedzierzgnęła się w businesswoman, otwierając w pobliżu kinoteatru małżonka restaurację o nazwie Masque. Umiejętnie dzieliła czas między własny biznes a prowadzenie domu i opiekę nad jedynakiem. Chłopiec przebywał zarówno w prowadzonej przez matkę restauracji, jak i w należącym do ojca teatrze. Tam podziwiał artystów cyrkowych, podpatrywał za kulisami rewiowych aktorów i oglądał filmy, które przносиły go w zupełnie inny świat. W końcu sam trafił na scenę.

Nie wiemy, kiedy odbył się debiut sceniczny Bodo, z całą pewnością występował w ojcowskim teatrze jako dziesięcioletek. Był przebrany w strój kowboja i z niezwykłą zręcznością posługiwał się lassem, brawurowo zaśpiewał *Yankee Doodle* i stał się ulubieńcem publiczności. Wówczas też wymyślił swój pseudonim, Bodo, utwo-



rzony z pierwszych sylab jego imienia – Bogdan – i jego matki – Dorota. Tak naprawdę ów pseudonim brzmiał wówczas „kowboj Bodo” i właśnie pod nim występował na scenie ojcowskiego teatrzyku. „Kowboj Bodo był rzeczywiście cudownym dzieckiem dwudziestego wieku: kunsztyki, jakie wyczyniał z prawdziwym kowbojskim lassem, budziły zachwyty całej sali – wspominał oglądający go na scenie pisarz i scenarzysta Ludwik Starski. – Podrzucał na przykład jeden koniec lassa wysoko w górę i jak zaczął kręcić drugim końcem, który trzymał w dłoni, pętla lassa sztywniała w powietrzu i długo wirowała w kształcie koła nad jego głową i ani nie spadła. Potem zatańczył dziga (ale jak!), zaśpiewał ładnym głosem «Yankee-Doodle», a na zakończenie wcisnął zza kowbojskiego pasa rewolwer i kilka razy wystrzelił do góry, ma się rozumieć prawdziwymi kulami, bo wyraźnie było widać, jak z lufy wyskakuje dym i ogień”<sup>4</sup>. Syty chwały i rzęsiście oklaskiwany przez zachwyconą publiczność, młody artysta z czasem nabrał przekonania, że to właśnie scena jest jego życiowym powołaniem, co wzbudziło niepokój matki.

Dorota Junod, obserwując środowiska, w których obracał się jej mąż, zdawała sobie sprawę, że zawód aktora jest niepewną profesją. Owszem, istnieli artyści opromienieni sławą, którym udało się osiągnąć wysoki status społeczny i spory majątek, ale brać aktorska nierzadko przymierała głodem. Matka Bogdana chciała dla niego lepszej przyszłości i wolałaby, aby syn wybrał bardziej intratny i stabilny zawód. Początkowo widziała go jako słynnego lekarza, ale w tym przypadku zderzenie z rzeczywistością okazało się bolesne: niedoszły adept nauk medycznych tak bardzo bowiem bał się widoku krwi, że mdlał na jej widok, co stanowiło skuteczną przeszkodę w studiach medycznych, a tym samym w uprawianiu zawodu lekarza.

Ojciec niedoszłego medyka nawet akceptował jego sceniczne plany, ale pod wpływem żony także on zmienił zdanie i namawiał

syna, by wstąpił do szkoły handlowej, w której zresztą sam wykładał. Teodor Junod, oprócz prowadzenia teatru, zajmował się też działalnością pedagogiczną, ucząc we wspomnianej placówce języka francuskiego. Bogdan posłuchał ojcowskiej rady i dołączył do grona uczniów szkoły kształcącej przyszłych handlowców. Niestety, bardzo szybko okazało się, że jest całkowitym antytalentem w dziedzinie matematyki i rachunki sprawiają mu olbrzymią trudność. Chłopak doszedł do wniosku, że handlowiec niepotrafiący liczyć z góry skazany jest na bankructwo, zdecydował się więc na jego zdaniem rozsądne rozwiązanie i zrezygnował z nauki w tej placówce. Rodzice nie byli tym zachwyceni, gdy po raz kolejny musieli zastanawiać się, jaką ścieżkę kariery zawodowej powinien obrać ich jedyny syn. W końcu doszli do wniosku, że najlepiej by było, gdyby znalazł zatrudnienie w kolejnictwie, prężnie rozwijającej się gałęzi transportu.

Ale Bodo nie miał już ochoty na dalsze eksperymenty edukacyjne. Miał osiemnaście lat i czuł, że tkwiąc w Łodzi, będzie skazany na wieczne połażanki i pouczenia od matki i ojca, którzy usiłowali go przekonać do swojej wizji jego drogi zawodowej. Tymczasem on doskonale wiedział, co chce w życiu robić – marzyła mu się scena. Pewnego dnia postanowił, że sam pokieruje swoim życiem. Ponieważ nie mógł już liczyć na przychylność ojca i matki, spakował najpotrzebniejsze rzeczy i pod osłoną nocy po prostu uciekł z domu. Niczym w powojennym znanym przeboju, wsiadł do pociągu „byle jakiego” i pojechał w nieznane. Owym „nieznanym” okazał się Poznań.

#### Przypisy:

<sup>1</sup> Za: R. Wolański, *Eugeniusz Bodo. „Już taki jestem zimny drań”*, Poznań 2012, s. 13.

<sup>2</sup> Za: ibidem.

<sup>3</sup> Za: ibidem, s. 16.

<sup>4</sup> Za: I. Rakowski-Kłos, *Kowboj Bodo umiera w łagrze* [RECENZJA], na: wyborcza.pl [online], dostępne w internecie: [http://wyborcza.pl/1,75475,11909346,Kowboj\\_Bodo\\_umiera\\_w\\_lagrze\\_\\_RECENZJA\\_.html#ixzz3oXyirpCe](http://wyborcza.pl/1,75475,11909346,Kowboj_Bodo_umiera_w_lagrze__RECENZJA_.html#ixzz3oXyirpCe)